



Władysław Łuczak, agronom

Łuczak wrócił

Zygmunt Jaski

Jak tu nie zadziwić się nad losem Łuczaków, którzy od dawien dawna zamieszkiwali we wsi Głuponie. Odkąd pamięć sięga, rodzina ta nie miała ziemi. Stary Łuczak mieszkał „na komornym” i pracował gdzie się dało, najwięcej we dworze, dla Harta, który po polsku nie umiał, ale jak jechał do urzędów do Poznania, to — według słów starego — lepiej tam sobie wszystko załatwić, niż Polak! Syn starego Łuczaka nie miał ochoty iść w ślady ojca. Przebywał jakiś czas we wsi, ale w końcu, zniechęcony nędznymi zarobkami i brakiem jakichkolwiek pomysłów, wyjechał szukać szczęścia gdzie indziej.

I przyszła wojna.

W Polsce Ludowej dzieje rodziny Łuczaków zaczęły się przedziwnie odwracać. W pamiętnym 1945 roku stary Łuczak przestał być pariasem bez dachu nad głową, pariasem, którego był wisiół na cienkim włosku pańskiej łaski. W roku tym bezrolny Łuczak, w wyniku reformy rolnej i parcelacji majątku obszarniczego, stał się właścicielem pięciohektarowego gospodarstwa. Młody Łuczak,

jego syn, był w tym czasie pracownikiem kolejowym we Lwówku. Dzięki pomocy państwa w formie stypendium, mógł on kształcić swojego chłopca Władka w 8-letniej Szkole Ogrodniczej w Trzciance. Szybko biegły lata. Władysław Łuczak ma już dziś 25 lat. Ukończył szkołę w Trzciance, odbył praktykę w POM-ie, pracował jako powiatowy instruktor przysposobienia rolniczego, a dziś... Stary Łuczak dumnie głęboko nad dziwnością losów ludzkich, kierowanych świadomie przez człowieka ku ściśle określonej celowi: jego wnuk Władek wrócił do rodzinnej wsi! I jak wrócił! Chodzi teraz po polach, które były nieetykalną „świętą” własnością obszarnika, chodzi i decyduje o przebiegu prac rolnych. Albowiem wnuk starego, ongiś bezrolnego Łuczaka, wygnany przez nędzę i beznadzieję w okresie Polski przedwrzesniowej, wrócił do rodzinnej wsi w dziesiątym roku Polski Ludowej, jako agrotechnik.

Duży pokój, instalacja elektryczna, półki na akta, podłoga antyczna i szafa biblioteczna. W rogu pokoju duży stół z szufladami, założony papierami, telefon. Z jednej strony stołu siedzi 17-letnia Aniela Łuczakówna. Pochodzi z tej samej wsi, lecz z innych Łuczaków. W zeszłym roku gromada wysłała ją do Szczecina na kurs, z którego wróciła — księgowa. Z drugiej strony stołu siedzi Władysław Łuczak, agrotechnik, i mówi do słuchawki telefonicznej:

— ...to za późno. Kolejka będzie za późno. Zaraz będzie leciał z Trzcianki nasz ciągnik, to się zabierzcie. O trzeciej będzie za późno. Chcemy ciąć od południa. Co? pada? to tylko u was. U nas — słońce!

Łuczak kładzie słuchawkę i z troską patrzy za okno. Na niebie kłębią się niskie i ciemne, deszczowe chmury... Ale nie pada. Nie ma co zalekać, trzeba ciąć!

Łuczak jest od 2 miesięcy agronomem spółdzielni produkcyjnej, która — poza sześcioma — zrzesza wszystkich mieszkańców wsi. Przeżywa tu pierwsze zimy. Nielatwie — na dworze znowu śniapka kapusniaczek... Ważne — są to zimy Dziesięciolecia. Na szczęście maszyny są w zupełnym porządku: trzy snopowiązałki własne i trzy POM-owskie, cztery żniwiarki własne i... kombajn, który obiecał wypożyczyć spółdzielnia Instytut Doświadczalny w Brodach. Jest więc czym ciąć i szczerze żałuję, że nie mogę nie przeszkodzić. Tylko ta pogoda...

Ile razy Łuczak rozstawia w

myśli ludzi do pracy, tyle razy przypomina mu się — pompa. Słowo pompa jest często wymawiane w jego (jego? tak — dziś tak że jego!) wsi. Albowiem pośrodku wielkiego podwórza między zabudowaniami spółdzielni stoi wielka wiatrakowa pompa. Wysoka jej wieża widać z odległości kilku kilometrów. Cóż, kiedy pompa jest nieczynna. Już przed kilkoma laty, w założycielskim spisie inwentarzowym spółdzielni, figurowała jako zepsuta. Spółdzielcy wykonali zwykłą studnię w pobliżu. Na nie! Pompa mechaniczna sięga 80 metrów pod ziemię, studnia tylko 8. Wody ze studni można wyciągnąć każdego ranka powyżej dwa, trzy wiadra. A pyśków do picia dużo! Siedemdziesiąt siedem sztuk bydła, a świń ponad sto pięćdziesiąt. To też wodę dla inwentarza żywego sprowadza się beczkowozem z pobliskiego stawu.

Łuczak zaraz po przyjeździe wziął próbkę wody z tego stawu i — zdrewniał. Przecież to trucizna! Starzy spółdzielcy kiwali głowami: trucizna trucizna, a było — powiadali — od trzech lat ją pije i żyje. Żyje, odpowiada Łuczak, ale jak żyje? Mogłoby być o wiele lepiej, gdyby dostawało wodę czystą, studzienną. Bo Łuczak nie jest ośniony stanem bytła spółdzielczego i ma plany... Zresztą co tam mówić o pianach. Łuczak nie lubi dużo mówić. Ale tym więcej myśli. Sprawa pompy ma dla niego jeszcze dodatkowe znaczenie. Uruchomienie pompy, to dwóch ludzi mniej w obozie, to dwóch ludzi więcej do pracy w polu. Bo wózenie wody — zajmuje dwóch mężczyzn, a czterech — skie ręce bardzo przydałyby się przy pracach żniwno-omiotowych.

Ludzi, ludzi potrzeba! Łuczak wie o tym od chwili przybycia do spółdzielni. Na polach spółdzielczych coraz więcej roślin przemysłowych, które wymagają starannej pielęgnacji. Samych ziół leczniczych jest 3,5 hektara, oleistych — 20 ha, sadu — 10 ha, ogrodu warzywnego — 5 ha, buraków cukrowych — 40 ha. Ileż to wszystko wymaga pracy ręcznej! A tutaj — unieruchomiona pompa korkuje dwóch młodych i silnych mężczyzn przy głupim wózeniu wody.

Dąbrowski, który przewodniczy spółdzielni od początku jej powstania, wiele razy interweniował w tej sprawie w Powiatowym Wydziale Budownictwa. Niby obiecują, ale na obietnicach się kończy. Poważna reperacja, mówią.

Łuczak wychodzi przed dawniejszy pałac, w którym mieszczą się biura spółdzielni i mieszkania pracowników. Od strony kurzej farmy biegnie zadyszana dziewczyna.

— Agronom, chodźcie no szybko! Glapy nam dwa kuraki porwały.

Łuczak podąża spiesznie w stronę farmy. Znowu dwa kurczaki, myśli, to już razem sześć. Nie jest to dużo w stosunku do tysiąca sztuk drobiu, jaki się tam chowa. Ale z tymi wronami trzeba będzie raz wreszcie skończyć. Tylko czy Dąbrowski ma jeszcze naboje do dubeltówki?

Idąc, Łuczak nie może nie widzieć górującej nad okolicą konstrukcji wieżowej. Patrzy na nią, na nieruchome skrzydła wiatraczne. Trzech mechaników dałoby radę w ciągu kilku dni — myśli z gorączką. I nagle postanawia z determinacją: zaraz po żniwach pojedzie do Prezydium PRN! Pompa musi być zreperowana. Nie można pozwolić na dalsze marnotrawstwo pracy dwóch ludzi. Nie ustąpię!

Kiedy nowy agrotechnik przechodzi zamysłony, ważący głowie tysiączne sprawy spółdzielni, mijają go starzy ludzie. Trącają się łokciami i szepczą:

— Patrzenie no, Łuczak wrócił kto by to pomyślał!

Józef Ratajczak

PSZENICA

Południe pęczniało żarem,
dojrzałym złoziło się kłosem.
Chyliły się złotowłose
łany na dnie żniwiarek.

Rwał się śpiew traktorzysty
w ciepłym i silnym wietrze —
jak chrabąszcz dzwijało powietrze
i kurz się wznosił srebrzysty.

Pszeniczna rozlała się rzeka
i płynnie dojrzałym ciężarem —
przez długie dnie żniwiarek,
przed mądre oczy człowieka.



Po długich, strasznych pięciu latach wojny, zawitało w 1944 roku pierwsze wolne słowo polskie do Ojczyzny. Przynieśli je z sobą żołnierze. Gazeta nosiła nazwę „Wolna Polska”

TRZY BRAMY

(Od własnego korespondenta)

LUBLIN W LIPCU

Jurek, który zaraz po przyjeździe oprowadzał mnie po Lublinie, gorączkował się, kiedy mówił o swoim mieście. Opowiadał słowami rwanymi wzruszeniem o faktach, które mu wierne, młodzieńcza pamięć podsuszała.

Byłem jeszcze młodym chłopcem, kiedy pięknego dnia, zalanego wrzesniowym słońcem, widziałem, jak długim ciągiem przez południową rogatkę wlewały się z miasta długimi szeregi ciemne limuzyny. Przeważały francuskie „Renaulty”. Jechały szybko. Ciężkie walizy przytoczone były do bagażnika... Tego dnia mówili, że w hotelu „Europa” stoi cały sztab Rydza-Smigłego. W pewnej chwili na niebie pojawiły się niespodziewanie hitlerowskie samoloty. Za chwilę bomby spadły na miasto. Nie minęło parę minut po bombardowaniu, jak z „Europy” wyszła grupa oficerów (nie brak wśród nich było generałskich czapek) i nowy sznur samochodów pomknął za „Renaultami”. W tych pierwszych uciekał rząd w kierunku zaleszczyckiej szosy.

W drugim — generalicja, sztab i „wódz naczelny”, który nie wiedział nawet, co w tej chwili robi jego armia...

Wyjechali z miasta. Minęli rogiatkę i pomknęli szosą. Przekroczyli lubelską bramę hańby.

Nawet jaskrawe lipcowe słońce nie było w stanie wyzłocić swoim blaskiem ponurych ruin zburzonych lubelskich domów. Stały czerniejąc się oczodolami okien. Poskręcane blachy o kienne zwisały jak skrzepłe, krwawe lzy. Ale ulice były radośnie. Odbijały od szarzystych domów purpurą pierwszych flag i różnokolorowym kwieciami, które, zakreślając wysoki łuk, pałało na czapki żołnierzy, świecące polski mi orzelkami. Wleźli od południowej rogatki. Wspaniali i zwycięscy. Nieśli umęczonym mieszkańcom Lublina upragnioną wolność.

Ciężko toczyły się czolgi — potężne kołesy z wysoko zadartymi nosami luf.

To była ta druga lipcowa brama.

„Wykłęty powstał lud ziemi...” I przyniósł nam wolność.

Ta trzecia brama przekroczyliśmy z Jurkiem razem na krótko przed Lipcowym Świętem. Brama Krakowska prowadziła do Starego Lublina. Mój przyjaciel nie dał mi się długo zwieść.

zatrzymać na Rynku. Zaprowadził mnie od razu na wysoką skarpe. Widok, który rozciągał się ze skarpy był imponujący. Nawet dla starego warszawiaka — takiego jak ja. Pamiętam budowę Trasy W-Z, MDM i Starego Miasta.



Z Podzamcza rozciąga się piękna panorama na całe lubelskie Stare Miasto...

foto: Jerzy Turzański, Lublin

rówki, ale takiego nasilenia robót chyba jeszcze nie widziałem.

Na potężnej górze rozpierał się lubelski Zamek — jedna z najpiękniejszych budowli tego typu w Polsce. Wokół niego kręcili się robotnicy, sadząc w głębokie doły odarniowanego zbocza wysokie kilkudziesięciometrowe drzewa. Za Zamkiem, jak okiem sięgnąć, półkoliste tereny wystawy rolniczej, olbrzymie pawilony i ciężkie maszyny rolnicze do nowoczesnego kombajnu polskiej produkcji, włącznie. Gdzieś w środku prawie sto kiosków wielkiego kiermaszu. Długie rzędy samochodów zwoziły właśnie towary na kiermasz. Cały ten wielki ciąg, pełen poletek roślin doświadczałych, potężnych chlewni i obór (z wysocegórskim wybiegiem dla owiec!) zamykał wysoki pawilon przemysłu. W nim zobaczyć będzie można to wszystko, co nasz przemysł wytwarza dla wsi. W Zamku malarze i dekoratorzy kończyli zakładanie ostatecznych dekoracji przy problemowej części „Wystawy Dziesięciolecia”.

Taki widok rozciągał się przed naszymi oczami. Wystarczyło się jednak obrócić trochę w lewo, żeby ujrzyć teren Podzamcza, na którym rozpętała się jakaś burzliwa orgia. Natłoczenie samochodów, ciągników, transporterów było tak wielkie, że przesłaniało cały plac wysypany równo żwirem.

— To szczecińscy zjechali, żeby w ciągu trzech miesięcy wybudować na Podzamczu długą, piękną kolumnadę domów. Ale nie tylko oni — mówił Jurek. — Są tu i ludzie znanego morza, są i z Kalisza, przyjechali ze Świdni-



Z Podzamcza rozciąga się piękna panorama na całe lubelskie Stare Miasto...

foto: Jerzy Turzański, Lublin

ka, a najwięcej warszawiaków. O, patrz tam — widzisz na rusztowaniach — najwybitniejszy warszawski tynkarz — Janik, a tam — obrócił się w drugą stronę — Henryk Kozłowski, który pracował na warszawskim Wuzecie, MDM-ie i Starówce. Teraz stawia balustradę na wiadukcie, który połączy Stare Miasto z Zamkiem.

Za naszymi plecami, na ulicy Grodzkiej, Kowalskiej i Złotej domki wyrastały już z pierwszych opadających rusztowań. Pełne były blasku różnokolorowych tynków, na których pracowite dłonie warszawskich i lubelskich artystów wyrwały ciemne sgraffita i skopiowały wygrzebane gdzieś z lubelskich archiwów stare sztuchy.

Wspaniały zabytek naszej przeszłości — lubelska Starówka, od lat wielu przykryta ohydnyymi gładkimi tynkami, wyrosła nagle w rekordowo krótkim czasie wspaniałymi elewacjami pełnymi malunków, rzeźb i kamiennych portali.

Wolnym krokiem mijaliśmy dom za domem. Tak doszliśmy do Bramy Krakowskiej. Wyszliśmy nią na rozległy plac przed Ratuszem. Zostawiliśmy za sobą przeszłość Lublina, przywrócić naszym czasom, wysiłkiem władzy ludowej.

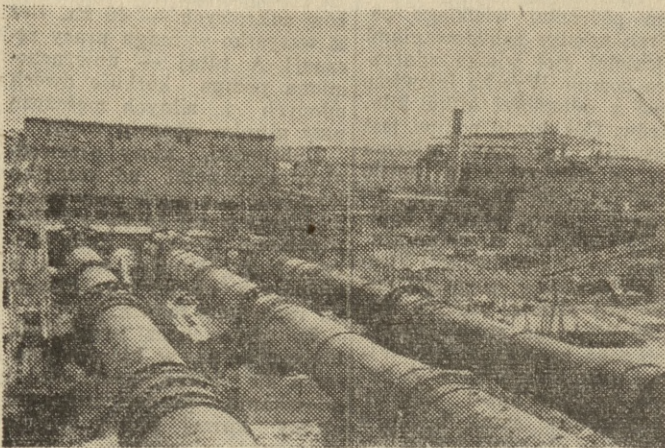
Przed nami leżały również odnowione i wyremontowane ulice młodego Lublina.

Z. S.

Tak rośnie Polska Ludowa



W szczerym polu, niedaleko od Rejowca, rozpoczęto w 1951 roku budowę wielkiej cementowni, zwanej „Rejowiec II”. Budowa wyglądała wówczas bardzo skromnie...



...a dziś tak wygląda. Ogromne rury wielkiego pieca obrotowego oparte są na potężnych fundamentach. Cała aparatura cementowni jest już niemal wykończona. Robotnicy spieszą się — kraj, rosnący szybko — potrzebuje coraz więcej cementu.

Coraz bardziej zacierają się w pamięci lata rządów kapitalistycznych w Polsce. W ciągu dziesięciu lat Polski Ludowej — rząd robotniczo-chłopski potrafił zapewnić każdemu obywatelowi prawo do pracy i chleba. Warto więc przypomnieć, jak żyli przed wojną w tzw. „bogatej Wielkopolsce” jej najwięksi nędzarze — robotnicy rolni.

W roku 1926 istniały w Wielkopolsce 1672 obszary dworskie o łącznej liczbie ludności 372 615 osób, przy 925 752 mieszkańcach w 3038 gminach wiejskich. Ludność wiejska liczyła wtedy 1 298 367 osób czyli 65,8 proc. ogółu mieszkańców dawnego województwa poznańskiego.

Robotnicy folwarczni wraz z rodzinami stanowili 29 procent wszystkich mieszkańców wsi.

2470 majątków obszarńicznych (licząc od 50 ha ziemi) zatrudniało 119 051 robotników i służby, w tej liczbie 5225 dozorców, 42 909 ordynariuszy, 55 491 płatnych od „dzionki”, 8590 służących i 6836 komorników. W tymże roku w czasie żniw i wykopków zatrudniali obszarńicy wielkopolscy ponadto 23 267 robotników sezonowych.

Obszarńicy ci posiadali w swych rękach 1 074 933 ha użytków rolnych, a więc bli-

Kilka faktów — które warto przypomnieć

sko 41 proc. całej powierzchni województwa.

W latach periodycznych kryzysów gospodarczych szczególnie dotkliwie wzrastał wyzysk i ucisk gospodarczo-społeczny w stosunku do robotników rolnych i służby dworskiej w Wielkopolsce. W odpowiedzi na to wzrastały walki klasowe wśród ludności folwarcznej, przejawiające się przede wszystkim w częstych i masowych strajkach. Od 1919 roku w okresie międzywojennym nie było ani jednego roku, aby w jakimś folwarku nie doszło do strajku i ostrych zatargów.

Już w 1919 roku

Już w 1919 roku w czasie żniw odbyło się kilka strajków robotników folwarcznych w Wielkopolsce. Jednym z pierwszych był strajk robotników w Lutyni pod Pleszewem, majątku obszarńika Wojciecha Skoroszewskiego (727 ha). Był to jeden z większych wtedy strajków robotników rolnych w Wielkopolsce. Trwał przez cały tydzień. W strajku wzięli udział wszyscy robotnicy rolni i służba dworska. Robotnicy Lutyni walczyli o podwyżkę płac i regularne ich wypłacanie przez dziedzica. Strajk zakończył się całkowitym zwycięstwem robotników, lecz później obszarńik zwołał za pracy organizatorów: kolodzieja Bergandego i kowala Piotra Lepczaka.

W roku 1922 i 1923 w każdym z 37 powiatów wielkopolskich wybuchają strajki w jednym lub kilkunastu folwarkach. Najsilniejszy przebieg miały one w powiecie ostrowskim, pleszewskim, kępńskim, średzkim, szamotulskim i kilku innych. Do krwawych strajków robotników folwarcznych doszło w Górznie (powiat Ostrow), gdzie zabito 3 robotników, 2 raniono, a dowódcą oddziału wojskowego ppor. Zenker popełnił samobójstwo, dalej w Wojnowicach (powiat Grodzisk), w Kopaninie (powiat Szamotuły), w Kolnie (powiat Międzybóże), w Kwilezu zastrzelono 9 osób. Masowy strajk objął ogółem 1725 majątków obszarńicznych, co stanowiło 80 proc. ogólnej ich liczby. W 155 majątkach przeprowadzili robotnicy tak zwany „czarny strajk”, to jest nie oprząkali inwentarza żywego. Strajki były skuteczną bronią, gdyż obszarńicy musieli się zgodzić na podwyżkę o 50 proc. płac robotniczych.

O „konieczności dziejowej“

Działo się to w latach, kiedy radzono w sejmie nad reformą rolną, konstytucją i w okresie wyborów do sejmiku w r. 1922. Tymczasem „Myśl Niepodległa”, wychodząca w Warszawie, pisała w roku 1920 bez żadnych ogródów: „Cała jego (Związku Ziemian) psychologia jest nastawiona na czasy opiekuńczego państwa policyjnego, mającego być od tego, aby stało na straży interesów ziemian... Nie ma żadnej konieczności dziejowej, aby ginąć musiało ziemiaństwo!”

Jak wyrabiać silną wolę?

Możesz kształtować szczęście swego dziecka

Na ogół mało rodziców zdaje sobie sprawę, jak zasadnicze znaczenie w procesie wychowawczym dziecka ma kształcenie woli. Można śmiało zarzykować twierdzenie, że właściwie całą pedagogikę da się do tego zagadnienia sprowadzić. Cóż bowiem wart jest człowiek, który nie jest wewnętrznie zorganizowany, świadomie zdyscyplinowany, który nie umie w życiu pokonywać trudności, nie umie hamować się, opanować, nie umie doprowadzić do końca rozpoczętej pracy? Cechy te można w człowieku ukształtować, jeżeli od dzieciństwa świadomie pracujemy w tym kierunku. Przekona nas o tym lektura książki radzieckiego pedagoga — A. Surowcewej pt. „Kształcenie woli dzieci”.

Zanim autorka przystąpi do opisu metod kształtowania woli, do przykładów stosowanych w przedszkolach radzieckich — wyjaśnia naprzód czytelnikowi, jaką rolę spełnia wola w życiu człowieka — nie tylko osobistym, ale i społecznym, jako obywatela państwa.

Surowcewa na przykładach, wziętych z przedszkoli radzieckich, udowadnia, że można kształ-

mgr Ludwik Gomolec

Mjr Chłapowski, najbardziej zadzierzasty obszarńik z powiatu wągrowieckiego, tak się wyrażał na zebraniu Związku Ziemian: „Za czasów pruskich rząd nie dopuszczał do zrzeszania się robotników rolnych, ażeby uniknąć strajku... Podczas ostatniego strajku wieś znajdowała się w stanie najzupełniejszej anarchii... Nasze władze nie stanęły na wysokości zadania, objawiając najzupełniejszą nieudolność. Fatalnym okazało się niedawne zredukowanie policji o 20 proc., przeciw czemu powinien najenergiczniej protestować wojewoda. I dlatego doszło do tego, że policjantów rozbijano i zamykano w chłwach...”

W roku 1928 solidarny strajk rozpoczęli robotnicy w majątku Obrowo (powiat Szamotuły). Strajk ów trwał 3 dni. Majątek należał do wielkiego obszarńika hr. Zygmunta Raczyńskiego, posiadającego 13 101 ha ziemi w samym tylko województwie poznańskim. Robotnicy obrowscy udali się zwartą grupą do pobliskiego Karolina i Gaju Małego, gdzie również przystąpiono do strajku. W Karolinie robotników napadła policja, wsparta oddziałem wojskowym.

Strajk jednak zakończył się pełnym zwycięstwem robotników. Robotnicy obrowscy popieścili także z pomocą słabiej zorganizowanym towarzyszom w Słopanowie w majątku hr. Turno.

Terminatki — środek terroru

Groźba bezrobocia wisiała stale nad robotnikiem rolnym w Polsce międzywojennej. Ostawione terminatki stosowano na wielką skalę, szczególnie w latach trzydziestych. Był to jeden z najgroźniejszych środków terroru w rękach wielkich właścicieli ziemskich w stosunku do robotników folwarcznych.

W roku 1933 prawie połowę stałych robotników dworskich wyrzucono z pracy. Celem tej akcji ze strony obszarńików było pozbycie się w pierwszym rzędzie elementów najbardziej uświadomionych klasowo, wykazujących najbardziej rewolucyjną postawę: członków KPP i klasowych związków zawodowych oraz pozbawienie robotników przez to praw do ubezpieczeń na wypadek starości. 95 proc. terminatek wśród robotników folwarcznych w Wielkopolsce w latach 1930 do 1933 miało właśnie takie podłoże.

Ilość terminatek wzrastała gwałtownie z roku na rok w latach ostrego kryzysu 1930—33. Oddajmy głos cyfrom.

W roku 1930 wypowiedziano na pracę 5884 robotnikom, w roku 1931 już 10 935, w roku następnym 22 366, a w roku 1933 — 46 617.

Najwięcej terminatek wykazywały powiaty: jarociński, kościański, gostyński, śremski, mogileński, inowrocławski, wyrzyski, szamotulski i poznański. Były to przeważnie powiaty o

najlepszej glebie. Fakt ten wskazuje na klasowy charakter systemu pozabawiania robotników rolnych środków do życia. Najbardziej bezwzględni byli bowiem właśnie silni ekonomicznie obszarńicy, których dzięki lepszej ziemi w mniejszym stopniu dotknął kryzys gospodarczy.

Dziś nad robotnikami rolnymi nie wisi więcej groźba bezrobocia. Władza dziedziczy i ich rządów należy do przeszłości. Mają oni nie tylko lepsze warunki życia, ale i możliwość kształcenia swych dzieci, zdobywania coraz wyższych kwalifikacji — i przede wszystkim osobistego awansu. Bezwzględnie utraciło sens obszarńicze powiedzenie: „Jak żeś się chłopie parobkiem urodził, to i parobkiem umrzesz”.

IRAN

kraina ślepców

W prowincji Chusistan, w Iranie, istnieje miasto Szusztar. Ludność nazywa je „Szahre Kuran”, czyli „Miasto ślepców”. W Szusztarze bowiem 95 procent ludności choruje na jagnię.

Iran można by w ogóle nazwać „państwem ślepców” — 95 proc. ludności nie umie czytać ani pisać. Zarówno ja glica, jak i analfabetyzm są skutkiem nędzy i objawem straszliwego zacofania kulturalnego i zdrowotnego Iranu. W większości wsi, a nawet miasteczek, nie ma ani lekarza ani nauczyciela. Jedynie w większych miastach, a zwłaszcza w Teheranie, ilość umiających czytać sięga 8 procent, przy czym ilość męz czyn dorosłych umiających czytać wynosi „aż” 20 proc. Procent kobiet, które otrzymały jakiegokolwiek wykształcenie, jest minimalny.

Ani jednego teatru

W Iranie istnieje jeden tylko uniwersytet: w Teheranie, ale nie istnieje ani jeden teatr. Jest ponadto kilka wyższych szkół w większych miastach oraz jedyna szkoła techniczna w Abadanie. Założycielem jej jest słynne brytyjskie towarzystwo naftowe „Anglo-Iranian Oil Company”, które przez lata eksploatowało największe bogactwo kraju. Przy zakładaniu szkoły w Abadanie nie chodziło bynajmniej o podnoszenie oświaty, lecz jedynie o szkolenie technicznych pracowników szybów naftowych.

Jak żyją dzieci irańskie, skazane na ślepotę i analfabetyzm? Dziennikarka włoska, Maria Antonietta Maccojochi, która niedawno odbyła podróż do Iranu i innych krajów na Bliskim i Środkowym Wschodzie, pisze w książce swej wydanej pt. „Persia in lotta”, („Persja w walce”).

Za kilka daktyli

„W jednym z oddziałów fabrycznych dzieci pracują prawie w ciemności, ponieważ jasne światło niszczy farby. Dywany zwisają z wysokich warsztatów, a tkające je dzieci siedzą jak małpki na zawieszonych przed dywanami deskach. Deski te opuszczają się i podnosi przy pomocy prymitywnego systemu bloków. Dzieci nie patrzą na mnie, podobnie jak nie patrzą na siebie nawzajem, nie odpowiadają na pytania. Jaskrawe nici — żółte, czerwone, niebieskie — wydają się w ich bladych rączkach ostatnim odświeżeniem życia. Pracują tu dzieci w wieku od czterech do dziesięciu lat.”

„W wytwórniach dywanów w Teheranie, Meschedzie, Korneanie, 70 procent robotników stanowią dzieci. Wiele z nich pracuje bez żadnego wynagrodzenia, ponieważ właściciele uważa je za „uczniów”. Kilkanaście daktyli i kawałek chleba dziennie — to wszystko co otrzymują. Czy mogą żyć? Wiele z nich z powodu kurzu, który wdychają i z powodu niedożywienia, bardzo szybko tracą na płuc krwią. Los ich jest przesądzony, lecz mimo to chodzą one nadal do fabryki, nadal „uczą się” rzemiosła, gdyż w domu nie mają nawet tych daktyli i kawałka chleba.”

M. Szl.

mgr Zbigniew Mika

Z praktycznych zagadnień ekonomii

Klucz trzymamy w rękach

Wiele, wiele tysięcy lat temu, gdy nasz pradziad mieszkał w jaskini nie używano szczoteczki do zębów ani milonowskich krawatów. Jego potrzeby i marzenia sprowadzały się najprawdopodobniej do „mnóstwo jeść”, „mnóstwo spać”, do jakiejś broni, którą mógłby zapolewać na grubszą zwierzynę. Ówczesne „damy” potrzebowały oprócz tego do szczęścia pelisę z surowej niedźwiedziej skóry i manicure przy pomocy kamienia niełupanego. Świat marzeń najprawdopodobniej na tym się kończył. Jakież to odległe od naszych obecnych potrzeb.

Czym kapitalizm się nie zajmuje?

Przez wiele tysięcy lat zmieniły się ludzie, powstawały całe narody i kultury. Nauczono się kolejno rozniecać w jaskini ogień, posługiwać się nim. Wynaleziono łuk, zaczęto budować prymitywne osiedla, wytapiać metale, a skórę zastąpić tkaniną. Po tym przyszły odkrycia geograficzne, naukowe, wielkie zdobycze techniki itp. Świat się zmieniał, coraz prędzej, a wszystkie przeobrażenia dokonywał człowiek. A czy on również się zmieniał? Rzecz jasna, że tak! Człowieka, jego życie, psychikę, upodobania — kształtowały warunki bytowe, w których się obracał. Rosły nowe wymagania, nowe potrzeby i dążenia.

Dziś nie wystarczy nam już „mnóstwo jeść” i „mnóstwo spać”; nie stanowi problemu wytworzenia ciepła w zimie czy zdobycie pokarmu. Niezbędnym atrybutem zadowolenia i dostatku stała się szczoteczka do zębów, książka, radio, wczasy, umiślowanie czy krawat. Dawny przedmiot zbytku garstki wybranych jest dziś artykułem pierwszej potrzeby. Oto kilka takich towarów: herbata, masło, wino, cukier i wiele, wiele innych. Kto się troszczy o to, by każdy miał co jeść, w co się ubrać?

W ustroju kapitalistycznym zaspokajanie potrzeb ludności nie leży w sferze zainteresowań państwa. Ekonomia kapitalizmu mówi tylko o popytach, podażach, hossach, bessach, parytetach i kursach, a jeśli mówi o człowieku, to jako o bazyse rodzącej zyski, jako o żywiołowej masie, stale kotłującej się w nieustannej pełnej sprzeczności walce konkurencyjnej.

Przeciwieństwem jest gospodarka socjalistyczna, której celem i ośrodkiem zainteresowań jest zawsze człowiek. Podstawowym prawem ekonomiki

socializmu jest więc maksymalne zaspokajanie potrzeb materialnych i kulturalnych ludności w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki.

Z tego podstawowego prawa wynika konieczność planowania, podniesienia materialnego i kulturalnego życia ludności.

Dzieje się to w ramach Narodowego Planu Gospodarczego. Program wzrostu stopy życiowej obejmuje plan handlu, gdyż ten zajmuje się zaopatrzeniem ludności w towary; plan wszelkiego rodzaju usług, w skład których wchodzi zagadnienia dotyczące szkolnictwa, sztuki, kultury, ochrony zdrowia, pomocy społecznej, ubezpieczeń oraz — plan gospodarki komunalnej i mieszkaniowej.

Wielkość tych planów, a tym samym stopień zaspokojenia naszych potrzeb jest uzależniony od wielkości funduszu konsumpcyjnego tj. tej części dochodu narodowego, którą państwo może przeznaczyć na nasze uposażenia, emerytury, stypendia, honoraria i inne dochody pochodzące z wyrodożenia za pracę; na utrzymanie teatrów, szkół, czasopism itp.; na budowę domów mieszkalnych, wodociągów, linii tramwajowych i innych inwestycji bezpośrednio służących człowiekowi.

Co byłoby gdyby

Po to, aby każdemu z nas lepiej się wiodło, muszą być spełnione dwa warunki: my musimy mieć więcej pieniędzy na niezbędne artykuły żywnościowe, nasze ubrania, obuwie, rozrywki kulturalne itp., a państwo musi mieć więcej środków na zakładanie szkół, teatrów, bibliotek, szpitali, na budowę nowych domów, miast i osiedli. Rolnictwo musi zwiększyć swoją wydajność — wyprodukować lepiej ilościowo i jakościowo.

Co należy zrobić, aby spełniły się oba warunki? Może wydrukować więcej pieniędzy? Może podnieść o 300% płace? Może zaprzestać budowy fabryk, a w to miejsce budować więcej teatrów, szkół i szpitali? Nie, każda z tych rad nie byłaby dla nas korzystna.

Dlaczego? Zaraz się o tym przekonamy. Wyobraźmy sobie, że państwo wydrukowało dużo pieniędzy i gwałtownie podwyższyło uposażenia. Już po kilku dniach półki w sklepach byłyby kompletnie puste, a pieniądze tkwiłyby beużytecznie w naszych kieszeniach. Niektórzy chcieliby „stracić” pienią-

dze na rozrywki, ale... lokale rozrywkowe, teatry byłyby przeładowane do niemożliwych granic. Po prostu nie starczyłoby towarów, usług rozrywkowych i kulturalnych. Pieniądz straciłby swą siłę nabywczą.

Posuńmy się z naszą wyobraźnią dalej. Przystawmy budować huty, cementownie, cegielnie, kopalnie, fabryki maszyn, sprzętu rolniczego, nawozów sztucznych, tkanin itp., a nastawiamy się wyłącznie na budowę teatrów, szkół, szpitali. Skutki? W pewnym momencie niedostatecznie rozwinięty przemysł — przestaby dostarczać budowcom materiałów, wsi nawozów sztucznych. Zaopatrzenie ludności byłoby zakłócone (rolnictwo dawałoby coraz mniej plonów). Dalszy rozwój przemysłu byłby zupełnie zahamowany.

W obu wypadkach byłaby to zła droga rozwoju naszej gospodarki. Nie służyłaby wzrastaniu bogactwa, a powodowałaby ubożenie narodu.

Właściwa droga

Charakterystyczną cechą gospodarki socjalistycznej jest zachowanie właściwej harmonii między siłą nabywczą ludności skierowaną na zakup towarów i usług, a rozmiarami podaży tych towarów i usług.

Wzrost siły nabywczej ludności bez wzrostu masy towarowej spowodowałby znowu brak towarów, nadmiar pieniądza. Ludność nie miałaby co kupować. I na odwrót. Wzrost masy towarowej bez równoczesnego wzrostu siły nabywczej ludności jest niecelowy i szkodliwy. Wówczas bowiem nielibyśmy za dużo towarów, a za mało pieniędzy i nie byłoby za co kupować.

Wniosek stąd prosty — aby mogły wzrosnąć płace realne musi wzrosnąć równocześnie masa towarów i usług, postawionych do naszej dyspozycji.

Każdy rozsądny człowiek wie, że wzrost masy towarowej może nastąpić tylko poprzez zwiększenie wydajności pracy naszego przemysłu i rolnictwa. Podnosząc wydajność swej pracy — drogi Czytelniku — pomnażając dochody państwa przez obniżkę kosztów własnych, racjonalizując i usprawniając procesy produkcji przysparzasz bogactwa państwu, a tym samym — sobie. Większa ilość towaru na rynku — niższe będą ceny; oszczędniej wyprodukujesz — państwo będzie mogło taniej, a więc i obficie zaopatrzyć rynek. Klucz do osobistej zamożności trzymamy we własnych rękach. To jest całkowicie jasne.

Energia atomowa w lotnictwie

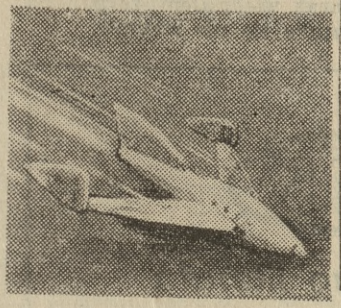
W szybko rozwijającym się lotnictwie znajdują zastosowanie coraz to nowe zdobycze radzieckiej nauki i techniki. Dlatego niewątpliwie wielkie osiągnięcie myśli ludzkiej — odkrycie sposobów produkcji energii atomowej — wywrze poważny wpływ na dalszy rozwój lotnictwa.

Do tej pory w silnikach lotniczych wykorzystywana była tylko energia cieplna, wydzielana przy spalaniu różnego rodzaju paliw. Jest ona jednak tylko małą częścią energii, znajdującej się w materii. Np. przy spalaniu jednego grama nafty wydzielą się energia cieplna równa w przybliżeniu dziesięciu dużym kalorom. Lecz energia jądrowa zamknięta w gramie tejże samej nafty jest o 2700 milionów razy większa. Widać więc, jaki efekt energetyczny dalaoby wykorzystanie energii atomowej w urządzeniu silnikowym. W tej dziedzinie również na samolotach. Jednak na drodze tej z pewnością będzie trzeba pokonać niemałe trudności.

liwa jądrowego jest znikomy w porównaniu z ogólnym ciężarem samolotu.

SAMOLOT „PAROWY“?

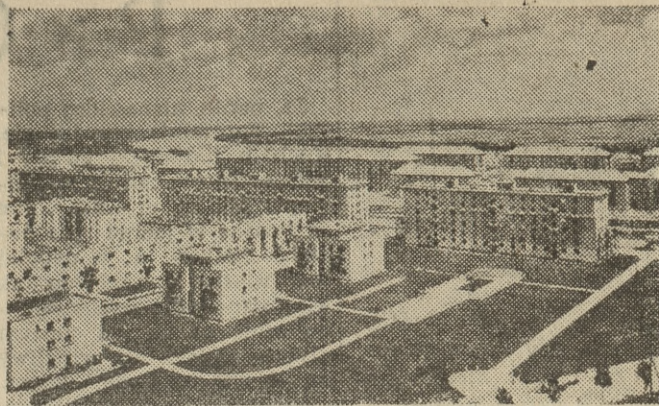
Możliwe jest również skonstruowanie przelotowych silników odrzutowych z kotłem atomowym, a także lotniczego wariantu silnika atomowo-parowego. Płyn ochla-



dający kocioł atomowy zamieniałby się w parę, która po wykonaniu pracy w turbinie kondensowałaby się i płyn znowu przechodził przez kocioł atomowy. Oczywiście w tym wypadku niezbędne jest wykorzystanie płynu o wysokiej temperaturze skraplania, ażeby rozmiary kondensatora nie były zbyt wielkie.

Zastosowanie energii atomowej w lotnictwie pozwoli uzyskać nowe szybkości i pułapy lotów, udostępni człowiekowi podróże międzyplanetarne.

Miasto to i obok zbudowana huta żelaza — to najwięcej obiektów węgierskiej pięćdziesiątki. Huta rozciąga się na terenie przeszło 300 hek-



Dla budowniczych wielkiego kombinatu hutniczego w Stalinvaros na Węgrzech powstaje nowoczesne, socjalistyczne miasto. Równocześnie z budową bloków i osiedli mieszkaniowych realizuje się na szeroka skalę budownictwo sieci przedszkoli, żłobków i innych urządzeń socjalnych. Fot. — CAF.

STALINVAROS czyli węgierska Nowa Huta

Siłownia, odlewnia stali, fabryka maszyn, fabryka materiałów ogniotrwałych i dalsze zakłady są już gotowe. Niedługo oddana zosta-

nie do ruchu koksownia, wysoki piec o objętości 700 metrów kubicznych i dwa pierwsze piece martenowskie.

A równocześnie na drugich 300 hektarach buduje się wspaniałe nowe miasto. — Wzdłuż szerokich, promiennic rozplanowanych ulic wznoszą się nowoczesne domy od dwu do pięciu, a nawet ośmiu pięter wysokie. Obok budynki przeznaczone na kina, teatry, kluby itp. Wszystkie domy bez wyjątku są zaopatrzone w gaz, elektryczność, łazienki i centralne ogrzewanie. Miasto buduje się na północ od huty, żeby więcej tu wiatry północno-zachodnie odrzucały dymy fabryczne poza obręb miasta. W tym samym celu zasadzono między miastem a hutą las o szerokości jednego kilometra.

Jednakże budownicz miast pragną miastu oszczędzić nawet dymów z własnych kominów. Opracowano przeto plany centralnego zdalnego ogrzewania. Jednym z najtrudniejszych problemów była sprawa należytej izolacji rur, prowadzących do miasta gorącą wodę z ciepłowni. Innym zagadnieniem było, jak zapewnić równomierne ogrzewanie odległym częściom miasta w stosunku do położonych blisko ciepłowni.

Po należytych rozwiązaniach tych trudności — dziś już 30 kilometrów odpowiednio izolowanych rur przecina miasto i hutę, dostarczając gorącą wodę do kaloryferów dla 1400 mieszkań robotniczych, 10 budynków publicznych i 35 budynków administracyjnych w hucie.

Tego rodzaju centralne ogrzewanie prywatnych mieszkań jest nie tylko niesłychanie wygodą w gospodarstwie domowym, ale zarazem urządzeniem — tanim. Za cały sezon ogrzewania, trwającego pełne 24 godziny dzień nie płaci się średnio 450 forintów czyli równowartość półtorej tony węgla.

1,5 m² = moc dużej elektrowni

Słońce wypromieniowuje tak olbrzymie ilości energii świetlnej, że trudno to sobie nawet wyobrazić. Wyliczono, że 0,3 cm² powierzchni Słońca wysyła energię, wystarczającą do ogrzania dużego pokoju, gdyż daje w ciągu doby tyle ciepła, ile otrzymujemy ze spalania 7 kg węgla. Jeden m² powierzchni Słońca zdolny byłby obsłużyć maszynę dużego transoceanicznego okrętu, a energia uzyskana z 1,5 m² powierzchni zastąpiłaby dużą elektrownię i wystarczyłaby do oświetlenia takiego miasta, jak Warszawa. (L.)

200 litrów z metra kwadratowego

Obliczono, że dla wytworzenia 1 kilograma suchej masy, nasze rośliny uprawne wyparowują od 300 do 700 kilogramów wody. Jeżeli więc na 1 hektarze wyprodukujemy ogółem 5 ton suchej masy, licząc ziarno, słomę i korzenie, to biorąc powyższe pod uwagę łatwo wyliczymy, że zboże to musiało pobrać z ziemi 2 miliony litrów wody, czyli 200 litrów z każdego metra kwadratowego.

Jak wiadomo, łącznie z wodą rośliny pobierają z gleby różne składniki mineralne, jak fosfor, siarkę, wapń, azot, potas, żelazo, magnez i inne niezbędne dla ich rozwoju. (L.)

Julia Seweryna wróciła z urlopu...

Jedną z naszych czytelniczek napisała w odpowiedzi na ankietę takie oto słowa: „...zwracam się do redakcji z prośbą (w imieniu wielu) o trochę miejsca na nasze sprawy. Niech nasi mężowie przestaną być... triumfatorami i nie śmieją się, że nasza Julia w „Głosie” dostała urlop macierzyński...”

A więc — powiedzmy — że naprawdę JULIA SEWERYNA była na urlopie macierzyńskim, no a teraz od czasu do czasu znów wróci na nasze łamy. Dziś oddajemy głos naszej przyjaciółce.

Na początek, drogie Czytelniczki, kilka modeli fartuszków domowych. Wiadomo, że może to być strój nie tylko pożyteczny, oszczędzający dobrą sukienkę, lecz także gustowny. Proszę pamiętać — perkalik w duże, wielkie grochy, falbaneczki przy ramiączkach, obcisły w pasie, marszczony (uwaga — można za stosować na każdą figurę!) fartuch — gdy do niego dodać ładną, zapiętą pod szyję bluzeczkę z krótkimi rękawkami, albo i bez nich, może być strojem nawet na przyjęcie „zwykłych” gości.

Model drugi, z popuszczanym paskiem, nosiłam niedawno. Jest to bardzo pomysłowy fason. Nadaje się szczególnie do „brudnych” robót w kuchni.



Ostatni model (prawda, jaki ładny), ma najbardziej ze wszystkich „wyjściowy” charakter. Spokojnie można się w nim udać po zakupy. Nadaje się jednak, niestety, tylko dla pań dość szczupłych.

A teraz kilka bieżących rad praktycznych.

Jedną z moich przyjaciółek pytała, co robić, że u mnie kluski są takie miękkie, pulchne? — Otóż tajemnica jest bardzo prosta — dodaje do ciasta parę łyżek niesłodzonej wody mineralnej zawierającej kwas węglowy. W czasie gotowania wydzielą się on i tworzy potrzebne do spulchnienia pęcherzyki.

Co zrobić ze starym fartuchem, serwetą, lub inną resztką masy plastycznej, pozostałej w gospodarstwie domowym? Radzę użyć jej jako oprawy do książek szkolnych naszych dzieci.

Jak najlepiej przygotowywać młode jarzyny? Nie opowiem o wszystkich sposobach przyrządzania. Chcę tylko powiedzieć jedno: siekając młode jarzyny na deseczce — spluczcie deseczkę zwykłą wodą. Wówczas sok jarzyn nie wsiąka w drzewo a po trawie z nich zrobiona jest daleko smaczniejsza.

Jak smażyć klopsiki z mielonego mięsa? Przede wszystkim trzeba pamiętać o zasadzie — nie przewracać nożem lub widelcem. Nakładając klopsik wypuszcza się z niego sok. Najlepiej jest obracać smażone mięso mielone łyżką.

Tyle na pierwszy raz po długiej nieobecności. Proszę się nie gniewać za młotnienie. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich uczestniczek ankiet, które tak bardzo mnie zapraszały do pisania. Dziękuję za słowa zachęty.

Julia Seweryna

NAJLEPSZY SYSTEM

Zasadniczy schemat turbosprężarkowego silnika atomowego wygląda następująco: Powietrze wciąga się za pomocą sprężarki do kotła atomowego, gdzie nagrzewa się ono do wysokiej temperatury, a następnie odpływa do turbiny gazowej, poruszającej kompresor. Struga gazów, która uchodzi z dyszy, powo- duje uzyskać ogromny zasięg, albowiem zużycie atomowego „paliwa” będzie niewielkie. Jeśli u współczesnych odrzutowych samolotów bombowych dalekiego zasięgu największy ciężar całkowity (w locie) podczas startu jest dwukrotnie większy niż przy lądowaniu, to w samolocie z atomowym silnikiem odrzutowym różnica ta będzie minimalna. Ciężar pa-

Popularny wykład ASTRONOMII

Wydana przez „Wiedzę Powszechną” książka Tadeusza Jarzębowskiego pt. „O Słońcu, Ziemi i Księżycu” spełnia podwójną rolę. W sposób niezwykle przystępny, jasny, daje naukowe wyjaśnienie, dlaczego mamy dzień, a dlaczego — noc, dlaczego po wiosnie następuje lato, potem jesień i zima. Jasna staje się różnica między gwiazdami a planetami. Czytelnik dobrze zaczyna rozumieć, skąd się biorą regularne zmiany w wyglądzie Księżyca, na czym polega kalendarzowy podział roku, dlaczego niebo jest niebieskie, a wschody i zachody Słońca — czerwone.

Rzadko spotyka się — nawet wśród wydawnictw „Wiedzy Powszechną” — tak dobrze pelniony postulat popularno-naukowej książki. Może ją przeczytać nawet najmniej przygotowany człowiek — a dobrze zrozumie zasadnicze, podstawowe zagadnienia astronomii.

Książka Jarzębowskiego — spełnia jeszcze drugą rolę. Ze Słońcem, Księżycem i gwiazdami, ciągle jeszcze związanych jest wiele wierzeń i zabobonów. Otóż praca Jarzębowskiego swoim jasnym i przekonującym wykładem obala te przesady, w sposób oczywisty zadaje klam bzdur, które krążą na ten temat wśród ludzi. Jasne się staje, że wszystkie zjawiska niebieskie są czymś zupełnie naturalnym i poznawalnym przez człowieka i niczego nadprzyrodzonego w nich nie ma, że wszystko, co się wokół nas dzieje, podlega ścisłym prawom przyrody, a nie jest kierowane żadną, tzw. „siłą wyższą”.

W okresie trwającej u nas rewolucji kulturalnej tego rodzaju książka jest szczególnie wartościowym orężem w walce z ciemnotą i zacofaniem. Książka Jarzębowskiego ma tym większe znaczenie, że dzięki swej przystępności może — i powinna — dotrzeć właśnie tam, gdzie to zacofanie zapuściło najgłębsze korzenie.

Warto jeszcze podkreślić na dobro książki Jarzębowskiego, że nie tylko tekst, ale rysunki i ilustracje są proste, przejrzyste i w dużym stopniu przyczyniają się do zrozumienia tych przecież nie tak łatwych zagadnień.

*) Tadeusz Jarzębowski. „O Słońcu, Ziemi i Księżycu”. „Wiedza Powszechna”. Warszawa 1954. Cena zł 3,50.

Śmierć Czarodzieja a życie tysięcy ludzi

J. Meschi

Czarodziej zdechł ubiegłogo roku na dusznicę bolesną. Mimo że przy stacji medyczno-biologicznej Akademii Nauk ZSRR w Suchumi istnieje klinika dla zwierząt, lekarze nie usiłowali nawet przedłużyć życia Czarodzieja.

A przecież od początku jego choroby bardzo uważnie obserwowali zwierzę. Ścisłej mówiąc, obserwacje rozpoczęły się z chwilą przeniesienia zupełnie zdrowej małpy do kabiny, gdzie przeprowadzano doświadczenia nad odruchami warunkowymi. Z początku nauczono małpę rozróżniać rozmaite sygnały — bodźce, przyczyniające się do powstawania odruchów warunkowych. A po tem zaczęto przeprowadzać na stopujące doświadczenia: po sygnale na karmienie, tj. sygnale, który zwykle bezpośrednio poprzedzał posiłek, dawano sygnał, oznaczający zbliżenie się niebezpieczeństwa. Zwierzę, nastawione już na posiłek, na dźwięk nowego sygnału musiało gwałtownie przedstawiać się na obronę. Niekiedy stosowano łącznie z sygnałem na karmienie elektryczne podrażnienie skóry. Jak widzimy, wszystkie te doświadczenia prowadziły do „zderzenia się” rozmaitych bodźców, a tym samym do zakłócenia działalności systemu nerwowego zwierzęcia.

Małpa myliła sygnały

Wkrótce zauważono, że zachowanie się Czarodzieja ulegało zmianie. Małpa nie przyjmowała pokarmu, myliła sygnały, zachowywała się niespokojnie w chwilach, gdy nie działały żadne bodźce, gryzła wszystko, co było w jej zasięgu. Ukazały się typowe objawy trwałej nerwicy. Wywołanie tego stanu było już poważnym osiągnięciem eksperymentatorów. Ale uczonych interesowała nie tyle sama nerwica, co następstwa tego stanu chorobowego — zwiększenie ciśnienia i zaburzenia w pracy serca. Przewidywania lekarzy potwierdziły się. U Czarodzieja dostrzeżono pierwsze objawy zakłóceń w pracy serca.

Czarodziej zdechł dopiero po dwóch latach od chwili rozpoczęcia eksperymentów. Pozostawia po nim niezmiennie cenny dokument — historia choroby doświadczalnej, którą można w pewnym stopniu uważać za biologiczny obraz zachorowania na dusznicę bolesną.

„Jesteśmy w laboratorium fizjologii i patologii wyższego układu nerwowego. Tu przechowuje się teczkę z historią choroby Czarodzieja. Na półkach leżą teści innych pacjentów, cierpiących na dusznicę bolesną i nadciśnienie. A oto w klatkach „ofiary nauki” — małpy: Gwidon, Karabas, Tygrys i Zeus. Pokazując je nam, starszy pracownik naukowy laboratorium — Dmitri Mimoszwill mówi:

— Uczonym radzieckim udało się wywołać sztucznie nadciśnienie u psa. Natomiast nie udało się przez dłuższy czas spowodować u małp, ani trwałego nadciśnienia ani choroby naczyń krwionośnych serca. Nie udało się też wywołać nerwicy przy zastosowaniu bodźców, powodujących odru-

chy warunkowe, związane z żywieniem. Ale małpy mają silnie rozwinięte inne instynkty — obronny, płciowy, badawczy. Na tych właśnie „strunach” postanowiliśmy „zagrać”.

Zeus się denerwuje

Mimoszwilli prowadzi nas do dużej klatki, w której mieszka pawian Zeus. Obok — klatka z samicami — matkami i pawianem — samcem. Przy klatce Zeusa siedzi laborant i nieomal „stenografuje” każdy jego ruch. Podajemy krótki wyjątek z tego protokołu: „Siedzi przylutony do siatki. Patrzy na sąsiednią klatkę. Wstaje. Biega tam i z powrotem na dwóch łapach. Biega w kółko. Siada. Przyciska się do siatki. Patrzy na samice. Mruczy. Wstaje. Biega w kółko. Chodzi tam i z powrotem na dwóch łapach. Potrząsa siatką. Często ziewa. Włazi na siatkę. Potrząsa długo siatką. Siada na półce. Potrząsa siatką trzy minuty. Niosą pokarm. Sledzi dozorcę. Niespokojnie biega tam i z powrotem. Patrzy bez przerwy na sąsiednią klatkę. Siada. Przeniesiono jedzenie o bok klatki. Biega coraz szybciej. Uważnie patrzy, jak karmi inne małpy. Warczy. Siada. Gryzie palec. Cmok.”

Były to już objawy zaburzeń systemu nerwowego, które w następstwie wywołały nadciśnienie.

Wywołanie objawów nadciśnienia u Zeusa nie trwało dwóch lat, ani nawet półtora roku, jak u małp poddawanych próbom w kabine odruchów warunkowych — powiada Mimoszwill. — W przeciągu trzech miesięcy, prawie bez żadnego wysiłku z naszej strony, otrzymaliśmy rezultaty. Przebieg doświadczenia był następujący:



Jeden z naszych lekarzy — internistów — Magakien stwierdził u kilku małp wysokie ciśnienie. Zaczął badać jego źródła. Może jakieś zastrzyki wywoływały owe zakłócenia w systemie nerwowym i doprowadziły do schorzenia? Sprawdził w aktach, czy małpy te nie były poddawane zbyt długotrwałym badaniom, czy nie „niepokojono” ich zbyt często. Okazało się, że nie. Należało więc szukać gdzie indziej przyczyny schorzenia.

Przyczyna choroby

Lekarz zbadał karty chorobowe małp — „nadcisnieniowców”. Zestawiając zanotowane w karcie fakty i analizując je, doszedł do następującego wniosku: o powstaniu nerwicy i zwiększeniu ciśnienia zdecydował szereg wydarzeń w życiu zwierzęcia.

W ciągu 25 lat istnienia Suchumskiej Stacji Doświadczalnej pracownicy poznali doskonale naturę i przyzwyczajenia małp. Ustalono np., że w stadzie pawianów samiec jest przywódcą, któremu ulegają bez szemrania wszystkie małpy. Samiec pierwszy zjada posiłek, a reszta małp zjada po nim resztki. Jeżeli więc jakiegos samca odizoluje się i dozorca karmi go ostatniego, denerwuje to zwierzę i wywołuje za burzenia w systemie nerwowym.

W takich właśnie warunkach przeżywał pawian Zeus. Doprowadziło to do zaburzeń w pracy systemu nerwowego w bardzo krótkim czasie.

Sztuczne wywołanie nadciśnienia i zaburzeń działalności naczyń krwionośnych serca u zwierząt doświadczalnych zupełnie przedtem zdrowych — otwiera szerokie perspektywy poznania przyczyn powstawania tych chorób oraz ich przebiegu u ludzi.

Ekipy z miast nie zawsze sumiennie wykonują swe zobowiązania

P * O * E * T * A

Paulew Rewicz

szą na świecie atomową elekrownię.

Panie, tak bez uprzedzenia... i to od razu atomową, i akurat wtedy, gdy Dulles pisał balladę. Dlatego, drogi panie, nie znoś polityki. Kocham tylko kwiaty i poezję. Co robię w tak zwanych przerwach?

Konserwuję zabytki historyczne po naszej arystokracji. A propos, mam naszyjnik z brylantowy, powiadam panu cacko... Brylanty czystutkie jak łyż Dullesa... Nie interesuje pana... Żałuję, zaraz wiedziałem, że pan na sztuce się nie rozumie.

Kiedy to miało miejsce? Dokładnie 27 czerwca. W tym dniu ogłoszono w Moskwie, że uruchomiono w ZSRR pierw-

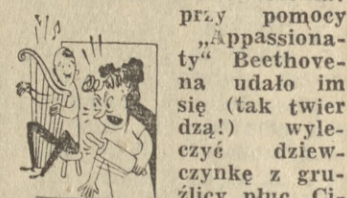


na amerykańską



MUZYKOTERAPIA

Jak wiadomo, już stary miłośnik muzyki dla poskromienia najdzikszych zwierząt. Ten fakt dał bez wątpienia natchnienie kolegium lekarskiemu z fakultetu medycznego uniwersytetu w Michigan (USA). Na specjalnym bożym posiedzeniu powołali oni do życia katedrę z dziedziny „muzykoterapii”. Zapoznajmy się więc z ich tezami i metodami leczenia:



przy pomocy „passionaty” Beethovena udało im się (tak twierdzą!) wyleczyć dziesięć przypadków gruźlicy płuc. Ci chcą muzykę na harfie polecają owi lekarze w wypadkach zaawansowanej hysterii. Manię prześladowczą należy leczyć grą na trąbce (solo!). Za palenie opon mózgowych usypuje przy zawodzącej melodii skrzypiec. Muzyka Schuberta zapobiega... bezsenności. Na choroby sercowe świetnie działa Haendel, a Mozart kołoi ból reumatyczny.

A na majaczenie „amerykańskich uczonych” wspólnie pomagają polewanie trzy razy dziennie zimną wodą. W takt melodii „boogie-woogie”!

NA WSZELKI WYPADEK

Jubileusze mają to do siebie, że wiążą się zwykle z pewną datą i określoną cyfrą. Niedzielną pod tym względem uroczystość obchodzi penna instytucja, której sława sięga daleko poza granice... Otóż wielce zażyłemu z służbą F. B. I. amerykańskiemu celebrować będzie w

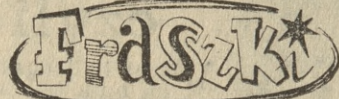
tym roku uroczystość swego 36-letniego istnienia. W związku z tym jej główny „boss” Hoover pochwilił się, że w ciągu swojej „zasłużonej” działalności udało mu się skompletować rejestr odciśniętych palców obejmujący 130 milionów obywateli.

Nieźle osiągnięcie, skoro się zważy, że cała ludność Stanów Zjednoczonych liczy 160 milionów. Jeżeli więc dodamy ilość matych dzieci, to spokojnie można przyjąć, że wkrótce wszyscy w USA będą już poszufladowani w rejestrach policyjnych.

Należy się spodziewać, że nie zapomniano wziąć również odciski ze statuy wolności, stojącej u wejścia portu nowojorskiego. Tak „na wszelki wypadek”.

MARKA ZGODNA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

W Niemczech zachodnich zgłoszono ostatnio do opatentowania bardzo prosty i tani przenośny aparat. Wynalazca nazwał go „Głos swego pana”. Aparat ten posiada jednak tę właściwość, że nadaje się do odtwarzania tylko oryginalnych płyt gramofonowych pochodzenia amerykańskiego. Podziwu godną pomysłowość wynalazcy. Wybraną na zwą utrafił w sedno.



Na pewnego literata

Tu głowę pochylał nisko. Powieść pierwszej klasy: Tysiąc w niej myśli złotych!

Ani jednej własnej.

Wielbicielowi zebrzań

Nie dziw, że zebrana wielbia szalenie:

Wszak najsilniejszym był zawsze w siedzeniu.

Z pewnej konferencji

Głos jego zawsze słuszny i celny.

Dlaczego? Wie dobrze, co myśli naczelny.

J. BINIEK

Zrozumieć — to mało

Pilnie wysłucha ostrych słów krytyki,

Po czym radośnie oświadczy każdemu:

„Z twórczej krytyki są dobre wyniki!”

...A w przedsiębiorstwie wszystko po dawnemu.

Gdy ktoś to samo stale mówi wszędzie,
To tak jak w jeden wciąż uderzać klawisz:
Zamiast się chwalić, żeś zrozumiał błędy,
Lepiej się pochwał, kiedy je naprawisz!

Zrozumiał...

Podjął hasło oszczędzania,

(Wie, co to dziś znaczy)

I oszczędza bez wahania,

Ale... siebie w pracy.

A. OCHOCKI

O pewnym aktywiście

Karci, poucza, kontroluje plany,

po linii i według pionu.

Jest bardzo mocno z terenem związany —

drutami telefonu.

W warsztacie

Mówisz: pracować lepiej nie można?

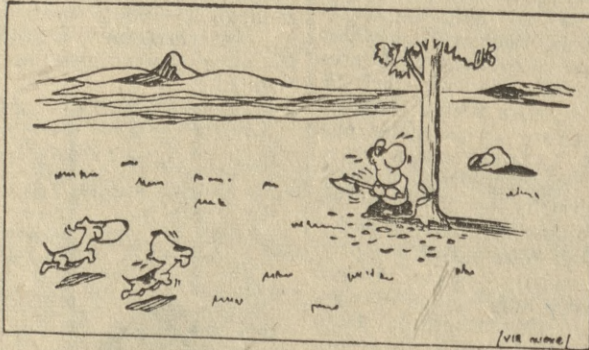
Nowe metody — oto myśl zdrowa!

Postaw tę sprawę na ostrzu noża

Oczywiście — Kolesowa.

J. MIKOŁAJCZAK

SAMOTNE DRZEWO

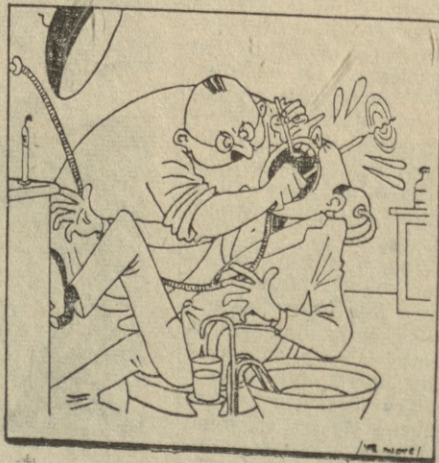


Prędko, jeszcze zdążymy na czas...

U DENTYSTY

Proszę o odrobinę cierpliwości... wiercenie jest zawsze trochę nieprzyjemne...

Rzeźbiarz: To racho mi się podobaa...



Ja, panie, nienawidzę polityki. Formalnie brzydzę się. Kocham natomiast kwiaty i poezję. To już tak od maleńkiego. Matka urodziła mnie trzymając w jednej ręce bukietek fiołków, a w drugiej tom wierszy Słowackiego. Jak więc pan widzi wysubtelnił mnie od kołyski. Jestem dlatego piekielnie wrażliwy na ludzką krzywdę. Szczególnie współczuję Dullesowi. To, panie, podobno najsłabszy człowiek w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Też bardzo kocha poezję, a poza tym wcielony anioł i straszliwy cierpiętnik na skutek niesprawiedliwości ludzkiej.

Niech pan powie, za czyje grzechy ten człowiek tak się męczy. Z Koreą mu nie wyszło. W Genewie, panie, a front za frontem. Francuzi postawili się zupełnie na sztorc i ani rusz nie chcą ratyfikować układu o armii europejskiej. Czou En-lai dogadał się z Nehru i to, panie dobrodziej... za plecami Dullesa.

No, proszę powiedzieć, czy tak się postępuje z poetą? Co on temu winien, że natchnienie nie przychodzi mu tak jak Neronowi, gdy wszystko pali



Ile razy mówiłam, żebyś mnie nie obejmował w miejscu publicznym.

Podjejrzana wieś

Nowoprzybyły wszedł do umywalni. Krawczyk obserwował go ciekawie. Wydawało mu się, że tego chłopca gdzieś już widział. „Ee, chyba mi się przewidziało”. Głośno zapytał:

— Rozpoczynasz dzisiaj?

— Tak — odpowiedział młody.

— To pięknie! — przytaknął starszy robotnik, który już od wielu lat pracował w fabryce. — Nazywam się Józef Krawczyk.

— Michałek — przedstawił się nowoprzybyły.

— Ze wsi chyba jesteś? — wypytował go dalej starszy robotnik.

— Tak!

— Postąpiłeś całkiem mądrze, że przywędrowałeś do miasta! — zauważył Krawczyk. Ja także pochodzę ze wsi, lecz tam nie ma żadnego życia. Ee! Miasto pozostanie miastem, a wieś — wsią... Jakże tam jest życie. U nas nawet dobrej wody nie było.

— Wolno, wolno! — zaprzeczył młodzik. — My na przykład w naszej wsi posiadamy wszędzie nowe, głębokie studnie z pompami. Woda jest tak smaczna, że nie zmienilibym na waszą miejską.

— Straszna dziura! — przypomniał sobie Krawczyk. — Pewnego razu, było to jesienią, wybrałem się wozem do sąsiedniej wsi. I wyobraź sobie, że ugrzązłem kołami aż po same osie. Takie było błoto... Na dobitkę sam wpadłem po pas. Mozesz mi wierzyć, albo nie. Szkapiny musiałem wypruć i cały dzień marnowałem się, nim przy pomocy sąsiadów wóz wydobyłem z błota. Dziś jeszcze czuję w kościach, gdy przypominę sobie ten wypadek...

— Ale nasza wieś — wtrącił nowoprzybyły — posiada porządnie wybrukowaną drogę...

Sprawozdanie

Wyjątek ze sprawozdania kierownika pewnej instytucji:

...są takie biura, w których jedna połowa pracowników czyni wszystko, podczas gdy druga nie robi nic. Cieszę się, że u nas jest właśnie na odwrót...

Krawczyk spojrzał na młodzika przebiegle. Denerwowało go, że stał mu oponuje.

— No, tak! — zaczął znowu. — Ty nawet nie możesz sobie wyobrazić takiej prawdziwej wsi. Te przeklęte wieczory zimowe i posilki przy naftowej lampie... Więcej swędu jak światła! Kiedyś zwróciła się do mnie żona: Lepiej posiedźmy już po ciemku... Oczywiście bylibyśmy wówczas co dopiero po ślubie!

— W naszej wsi — wtrącił znowu młody robotnik i twarz mu pojaśniała — mamy już od dawna elektryczne światło...

— Możliwym, że macie, lecz u nas... Co ty właściwie wiesz o tym? Człowiek mógł z nudów nogi wyciągnąć. Nic się tam nie dzieje. Nie ma się gdzie rozerwać. Dlatego woła miasto. Tu mam kino, teatr — krótko mówiąc, wszystko!

— W naszej wsi mamy także kino, a co pewien czas odwiedza nas również teatr objazdowy! Spróbujcie no tylko wymienić jakiś film, którego bym nie znał.

Józef Krawczyk począł się zżymać.

— Twoja wieś nie jest w takim razie żadną wsią. Wiesz to jest coś zupełnie innego. Kto na przykład grałby tam w szachy?

— Co, szachy? Grałem bardzo często w naszym Domu Kultury! W związku z tym mógłbym coś opowiedzieć. Pewnego wieczora grałem z naszym najlepszym szwajcarem. Świetny szachista. Jest kierownikiem naszej sekcji. No i co? Zadałem mu mata gońcem...

— Zostaw te szachy... I słuchaj! — odburknął Krawczyk. — Swego czasu spodziewaliśmy się przyrostu. W rodzinie. I wtedy powiedziała do mnie żona: „Józwa, przywieź lekarza! Zle ze mną”. I wiesz co? Zanim przywiezłem, a trwało to dobre kilka godzin, dziecko już było na świecie...

— To dziwne! — pokiwał głową nowoprzybyły. — W na-